Nro 25.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 30 listopada 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 16 listopada 1844.

Stroje damskie. Strój głowy stanowi teraz główną część ubrania, a nasze piękne panie najwięcej się nim zajmują; ten strój który umyślnie był wymyślony na wielką uroczystość jaka się odbyła w pałacu windsorskim, następującym wykonywa się sposobem: z wierzchniej części warkocza trzeba zrobić dwie przepaski lekko splecione, podniesione w górę i przytrzymane łańcuszkiem diamentowym, co robi podobieństwo do korony na wierzchu głowy; z reszty włosów trzeba zrobić szeroką plecionkę w kształcie czepeczka siatkowego, którego każde wiązanie wielkim diamentem powinno być przytrzymane. Z każdej strony przepaski, powiewają wdzięcznie dwa lekkie bukiety marabu, między któremi rozkwitają się dwie świeże róże bengalskie które ukrywają obok siebie dwa diamenty stosowne do całego ubrania. Cały ten strój nosi na sobie charakter bogactwa i godności, który go bardzo różniącym się od innych czyni. Również przystrajają teraz głowy piórami, łańcuchami, kwiatami z których najulubieńszym jest kwiat dalia nadający ubraniu wiele wdzięku i prostoty.

Z materij używanych na suknie, najulubieńszą jest teraz mora koloru szarego; najładniejsza suknia jakąśmy z tej materii widzieli, miała spodnicę gładką, stanik wysoko zachodzący na ramiona, otwarty z przodu przez całą swą długość, obszyty w koło trzema rzędami pasamoników, rękawy gładkie długie, także pasamonikami obszyte.

Kapeluszów najwięcej jest axamitnych, przy których pióra wielką grają rolę.

Czepeczków mnóstwo różnego rodzaju; korunkowe, z haftowanego muszlinu, z tiulu jedwabnego i inne; wszystko to wstążkami a najwięcej równiankami z drobnych kwiatów przystrojone.

Nie możemy jeszcze niewspomnieć o kryspinie bardzo dowcipnie wymyślonej, gdyż nietylko jest strojem bardzo ładnym, lecz oraz niezmiernie wygodnym. Kryspiny tej długość równa się z ręką (gdy ta jest spuszczona); krajana ukośnie tak, że fałdów jest dość i ładnie się układają; w tych fałdach ukrywają się rękawy które nie są widoczne i używają się wtedy tylko gdy ich koniecznie potrzeba. Kryspiny te robią się z tyftyku szkockiego, z materii *Izabella*, z królewskiego atłasu i innych.

Stroje męskie. Suknią najstosowniejszą do codziennego wyjścia jest surdut na dwie strony zapinany, bardzo podobny do paletotu, bo stan jego jest szeroki i długi, z tą tylko różnicą, że poły nie mają kieszeni; surdut ten ma kołnierz i klapy axamitne, a podszyty jest kitajką.

Paletotsaków jako wierzchnią suknię bardzo mało widzieć można; zastępują ich miejsce płaszcze okrągło krajane, z których jeden na rycinie w numerze dwudziestym czwartym naszego dziennika był przedstawionym; ten płaszcz jest nierównie wygodniejszy od paletotsaka, a o wiele strojniejszy.

Kamizelka także na obydwie strony zapinana.

Spodnie prosto krajane i szerokie u dołu tak, że prawie dwie części powierzchni nogi zakrywają.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną w kraty, ze szeroką falbaną i wysokim stanikiem z rabatami, rękawy wązkie z epoletami. Kapelusz jedwabny kwiatami ubrany. Drugi szlafroczek jedwabny, po którym płaszczyk axamitny korunkami obszyty, kapelusz jedwabny wstążką i blondynami ubrany. Trzeci szlafroczek równie jedwabny, axamitem ubrany. Czwarty grecki burnus z klapami axamitnemi.

LEKARZ MAGNETYCZNY.

WYJĄTEK

Z PAMIETNIKÓW PANA BOLESTY.

PRZEZ

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

1.

Byłem młody, stary i teraz nie jestem, jeżeli wierzyć metryce i twarzy; ale sercem stary, doświadczony, zgrzybiały. Burzą przeleciały wszystkie pory życia mego; ni kwiatów letnich, ni owoców jesieni; jednym skokiem z wiosny do zimy przeskoczyłem. Pączki mej wiosny, nadzieje mej młodości, burzą poparzone, przedwczesnym szronem ścięte opadły pączkami!... Wtenczas byłem młody! a młody, to poeta!... bo jego myśli są poezie; marzenia, to są spiewy goralskie tęskne, poezie przeczucia!... żądze, to gorące barkarole włoskie, płomieniem wezuwiusza tchnące! pierwsza miłość, to spiew gitary hiszpańskiej, pieszczony, i płomienisty!... a chęci szerokie jak świat, za krańce ziemi lecące, w niebo wskakujące, to pienia Luziady, oceanowe pieśni Kolumba szumiące po przedpotopowych borach!... a życie młode, to wielki dramat odegrany przez wszystkie uczucia i namiętności.

Byłem młody i po raz pierwszy wyjechałem wolny z miasta, gdzie się chowałem od dzieciństwa przy surowym opiekunie; jechałem zaś o mil kilkadziesiąt do matki, którą małem dzieckiem opuściłem. Byłem wtenczas szczęśliwy, wolną piersią oddechałem po szerokich Wołynia polach; zachwycały mnie okolice jakkolwiek jednostajne, ale zaczarowane tchnieniem wiosny, ubarwione pędzlem młodej wyobraźni; łzami tkliwej radości zwilżane oczy wytężałem, by prędzej ujrzeć miejsce mego urodzenia, miejsca zabaw dziecinnych; i w myśli mojej zatańcowały czarodziejskim ruchem wszystkie minione obrazki.

Już się zbliżałem, poznałem okolice poważne i posępne; stepy lasowe, Polisie! już mnie mila tylko jedna dzieliła, już ostatni lasek przejeżdżałem; niewymowne uczucia tłoczyły się do serca, łzą i westchnieniem ulatywały w pogodne niebo!... Witałem was dęby rozłożyste, sosny niebotyczne, brzozy wysmukłe, jak braci, jak towarzyszów dziecinnych. Już się las rozrzedził, a krzaczki dzieci, które ja dziecko żegnałem przed laty, dorosłemi drzewami witają wracającego młodzieńca: pierwsza to odmiana, pierwsze zadziwienie, pierwsza myśl cięższa!... O drzewka młode mojej ziemi rodzinnej, wy o męskiej sile szerokiemi konary witać będziecie przyszłe pokolenia!... a jaż latorośl waszej ziemi, nigdy już do was nie powrócę?...

Minąłem lasek; już widzę wioskę, zdala dom się bieli, krzyż rodzinnej kaplicy błyszczy; rzucam okiem wkoło, szukam, truchleję i nie znalazłem!...

Kiedy małem jeszcze byłem dzieckiem, jedynak sierota po ojcu, ulubieniec matki; jako błagalne za mnie wotum wzniesiono na tej samej drodze, która miała być drogą w świat dla mnie, drewniany krzyż z panem Jezusem. Choć byłem małym chłopcem, pamiętam jakby to dzisiaj było; niesiony na ręku, wśród processii chłopków ze wsi, przy brzmieniu dzwonów cerkiewnych, i pobożnego spiewu xięży, widziałem jak kilkudziesiąt rękami pociągniony wzniósł się pomału krzyż pomalowany jaskrawo z bladą twarzą zbawiciela; i wesołym okrzykiem przywitano stojącą już figurę; z łzami w oczach patrzała matka na te pobożne wotum miłości macierzyńskiej; i ja rozpłakałem się płaczem dziecka! Starszy nieco chodziłem tam z matką, sadziłem kwiaty i krzewy, modliłem się, nauk matki słuchałem. Matka poszła za mąż; nowy mąż, nowe dzieci, nowe obowiązki.... wywieziono mnie na wychowanie do bogatego i mądrego stryja... długo, długo modliłem się wówczas przy figurze; przeczuciową żałością przejęty żegnałem się z tym przyjacielem dziecinnym, z krzyżem, który nieruchomemi ramionami zdawał się wskazywać miejsce zkąd wyjeżdżałem, i miejsce gdzie jechałem....

Gdzie figura moja?... darmo szukam, pole tylko zorane świeżem zieleni się zbożem; ledwiem poznał miejsce po bujniejszem i wyższem zbożu. Zatrzymałem się na tem miejscu; rozmaite myśli przebiegały przez głowę, to w dziecinne wracałem lata, i dziecinnemi płakałem łzami za figurą, zakładem szczęścia mego; to znowu z suchem okiem marzyłem o przyszłości, choć pierwszy smutek zabolał w sercu. Była to pierwsza proza w poezii życia mego, pierwszy akord fałszywy w harmonii uczuć moich, pierwsza chmura na wiośnianem niebie. Wstałem starszy o jedno doświadczenie, którem zapełniłem przestrzeń między obrazem wystawionej figury dla ulubionego jedynaka, a teraźniejszością tak różną... syn dawno zapomnianego męża, niemiły współdziedzic lubych dziatek dzisiejszych, gdzieś daleko wychowany, chronologicznym lat porządkiem byłem od serca matki oddalony.

Bogatszy o jeden smutek, uboższy o jedną wiarę, przestąpiłem święte progi rodzinne. Uczucie wielkie, jedyne!... raz cię tylko doznałem, bom raz był młody, raz czułem po młodemu; przestępywałem starszy te same drzwi; drzwiami mi już tylko były, a pierwej bramą świątyni. O czemuż tak łatwo nikną młode uczucia, tępieje serce? Lata moje, myśli, uczucia, i

marzenia gdzieżeście?... Próżny żal!... Teraz zimny czytam, słabizuję własne dzieje, sercem starem ledwie zrozumieć mogę młode serce; stępiałem okiem ledwie doścignąć potrafię nadpowietrzne szlaki lata młodego; a jeżeli kiedy nuta młoda, harmonijna, przedrze się echem do zdziwionego ucha, zadrzę jakby na odgłos muzyki pogrzebowej, zapłaczę jakby nad trumną.

Przywitałem, obiegłem wszystkie kąty wesoły bo młody, codzień jednakże wracałem na miejsce mojej figury, która burzą zwalona dawno płomieniem i dymem uleciała. Żalem przejęty stałem między figurą którą przeżyłem, a owemi drzewkami, które mnie kiedyś przeżyją. Szczere to wyobrażenie człowieka, który zawsze stoi między smętarzem swojego równoczesnego pokolenia, a kolebką pokoleń przyszłych. Tam na tem pustem miejscu nauczyłem się marzyć bez celu.

2.

W pogodny wieczór czerwcowy cichy i spokojny schodziłem piechoto ze sporej dosyć góry; powóz czekał na mnie w dole. Jechałem dotąd okolicą górzystą i lasową, gdzie mnie góry jakby głowy olbrzymie włosami lasów porosłe jednostajnością swych rysów znudziły; czasem tylko błękitne zwierciadło stawku, lub zielona wstążka strumyka rozweselały to piętno surowości i smutku jakie odznacza zawsze okolice górzyste lasami zamknięte....

Stanąłem zadziwiony!... Droga którą stąpałem zwolna szła krętym i spadzistym wąwozem, który dzielił dwie ciemne góry bliźnięta; nagle na zakręcie z ciasnego wąwozu garła, postrzegłem jak przez rurkę perspektywy okolicę płaską, jakby ogród angielski klombami gajów i wiosek zasadzony, przerznięty szeroką rzeką, której fale tchem wieczora połuszczone, z jednej strony zachodzące słońce czerwieniło, a z drugiej wschodzące śrebrzyły gwiazdy. Konające życie dnia dochodziło uszów moich niewyraźnym szmerem, a połączone z cichym szeptem drzew, z mruczeniem rzeki przemawiało harmonijnym głosem młodej wiosny do młodego życia. Upojony całą tą poezią natury, długo stałem zadumany, długo bez celu błądziłem okiem, długo bez celu wolną bujałem myślą, aż nareszcie okiem i myślą zatrzymałem się na wiejskim domku, który z pomiędzy zielonych topoli śrebrnym szyb okiem patrzał na mnie, zdawał się mrugać wesoło, witać i przemawiać. Do tego właśnie domu jechałem, i niewiem czy ta chwila uroczysta, czy młoda myśl moja dziwnem i ciekawem zagadały do mnie przeczuciem.

Zeszedłem z góry, i wnet szybkim lotem koni minąłem mostek, wioskę, rząd topoli; stanąłem przed domem. Przyjazd mój był spodziewany, i przed gankiem wśród drzew i kwiatów przywitała mnie młoda dziewica, dziecinnego niegdyś wieku towarzyszka. Piękną była; piękną ją znalazłem; ona dziś jeszcze, kiedym już wiekiem i cierpieniem od tej chwili daleki najpiękniejszą mi się wydaje; a wtenczas wśród całego uroczego otoczenia, wydała mi się równie piękną jak ta wiosna co mnie otaczała; jak ta wiosna co była we mnie. Rysy, oczy, włosy, i dziś jeszcze odmaluję, ale ktoż mi odczaruje oczy moje młode, kto wskrzesi dawne uczucia moje? Poznaliśmy się od razu; zaczęliśmy się ściskać dawne dzieci, a skończyli rumienić młodzi pełni życia i ognia wiośnianego; ta chwila była stanowcza; pierwsza miłość zagrała na zegarze naszego życia. Wzięła mnie za rękę, i powiodła do domu, do swej matki.

Była to ciotka moja, której serce niezrozumiane od pierwszych lat zamęścia zaciemniło całe życie smutkiem. Długo jeździła po zagranicy, cudowne zwiedzała wody ale choroba jej była nieuleczona; całe życie spaczone, uczucia powiędłe, nadzieje poniszczone; to były cierpienia, które tylko jej serce rozumiało, i bóg znał; a ludzie nierozumieli, gorzkiemi lekarstwami, i gorzką litością leczyli śmiertelną słabość.

Mąż a poźniej syn byli to regularne zegarki, by oznaczać chwilę zażycia lekarstw, a nierozumiejąc i niemogąc ją rozumieć płacili jej to zimnym obowiązkiem czego ona gorącą miłością dla gorącego żądała serca. Poźniej dopiero córka gdy dorosła, pierwsza nieszczęśliwą matkę zrozumiała, a nie odstępując ją na chwilę, była dla niej najmocniejszem lekarstwem, bo jedynym węzłem życia, ostatnią nadzieją, a razem pamiątką lat młodzieńczych w rodzicielskim domu przepędzonych. Przez czas jej podróży za zdrowiem młoda Maria chowała się przez lat kilka w domu matki mojej; ztąd nasze dziecinne przywiązanie, ztąd mocne macierzyńskie prawie przywiązanie ciotki do mnie.

— Poczekaj! tylko co lekarstwo zażyła; kwadrans przynajmniej spoczywać powinna; to taka bieda, trzeba ją jak małe dziecko pilnować. Jak się masz; wyrosłeś mocno! powiedział pan wujaszek czerstwy choć stary.

— Poczekaj! teraz matce spokój potrzebny, a zobaczywszy ciebie zaraz zacznie płakać, spazmować! oj te uczucia niepotrzebne niemało zdrowia jej zabrały; i gdyby nie nasza staranność... Ale jakżeś utył! czy na długo do nas?... powiedział pan cioteczny brat młody, ale mniej czerstwy od ojca, bo żół-

ty, nalany, skrzywiony. Snać brak uczuciów nie zawsze dodaje zdrowia.

— Jego widok mamie nie zaszkodzi; mama go tak kocha, zawsze o nim wspomina, i widzieć go pragnie!... Chodź za mną! powiedziała Maria, i weszliśmy.

Czułe było przywitanie; pamiętam jakby dzisiaj, i dzisiaj łzy mi się cisną do oczów na to wspomnienie, jak wtenczas przy przywitaniu, ale i łzy dzisiejsze jakie różne od tamtych. Jak mnie ściskała, witała słowy, spojrzeniem i łzami; ile pytań czułych, ile proźb do Marii by mi na niczem niezbywało. O ja bardzo kochałem ciotkę biedną; matkę kochającą wraz z szatą dziecinną zostawiłem za sobą, ojca nie znałem, stryj był mi tylko nauczycielem. Jedyny epizod czułości, pieszczot co tak miłe są sercu, przeżyłem w domu dobrej ciotki; krótki to był epizod; jedna aura zielona na stepach życia mego!...

O gdybym mógł wszystkie chwile te, jedne po drugich wskrzesić, iskry w popiele rozniecić, odczarować dawne życie, odżywić zamarłe perły życia mego, jabym pisał cudowne poezie, bo moje dzieje były poemata, godziny i chwile przechodziły jak piosnki, jak dumki; myśli moje były dobre i wielkie, chęci wyniosłe, uczucia szczytne, a marzenia latały tak wysoko, że ja nędzny karzeł drzę na wspomnienie olbrzymich gmachów w których memu życiu było za ciasno; bom ja był dobry, był młody, bom kochał, i jak kochałem! Najgorętsze mi dziś zostały łzy; gdybym temi nawet był zdolny pisać, pisałbym nędzną prozę. I byłem kochany!... nasze serca zrozumiały się prędzej niżeli słowa, niżeli oczy nawet!... Zimne słowa dzisiejsze, wyście pędzlem, by kształt ciała odmalować, wyście cerklem, by geometryczny zrobić rozbiór; ale nie wam na jaw wydać duszę, poezię, młodość i miłość!...

Rysy twarzy zmieniają się i scierają w pamięci, choćby to była twarz przyjaciela lub kochanki; któż jest w stanie oddać wszystkie odcienia stanowiące fizionomię mocnego uczucia, odcienia, które są półświatłem, pół-cieniem, falą na wodzie, obłokiem na niebie!... dosyć że kochałem i byłem kochany. Chwila po chwili, dzień po dniu mijały spokojnie jak wiersz po wierszu z wielkiego poematu, którego byliśmy twórcami i przedmiotem razem. A choć czasem dotknęła nas proza ojca lub brata; były to jakby godziny bijące na domowym zegarze, którego pamięć niknie wraz z głosem: nie kochali mnie, i nieraz uważałem że krzywo patrzali na naszą miłość widoczną, ale życie ich było tak odrębne od naszego, i chociaż ledwie pokojem oddzielone, przecie dalekie o całą różnicę Grenlandii i Włoch, że mało zważaliśmy na nich. Prócz tego pokój chorej matki był naszą świątynią, dla nich przez większą część dnia niedostępną, nasze rozmowy dla nich nudne i niezrozumiane; widzieli przytem dobrze że matka we wszystkiem uległa, była nieugiętą gdy szło o los i szczęście jedynej przyjaciółki i córki. Maria zupełnie w tem podobna do matki, silna jej przywiązaniem, miała moc duszy, której niezłomnego hartu nieraz już doznali w mniejszych rzeczach; a zatem z cicha tylko pomrukując zdybywali nas swoim chodem zegarkowym.

Matka zaś nie była dla nas prozą; jej życie chorowite, twarz blada, cierpienia nerwowe, głos ledwie dosłyszany, były poezią smutku. Miłość dla niej i jej pobożne modlitwy naszą były wiarą!... I całe swe serce czułe, całą moc przywiązania przez tyle lat cierpienia i samotności zebraną dzieliła równo między nas, tak jak my dzieliliśmy wszystkie około niej starania na równe części. Dobrze ona zrozumiała uczucia nasze i chociaż nie rozmawiała z nami o tem, z wyraźną pociechą patrzała na nas. I cóż dziwnego! miłość nasza była dla niej ostatnim uśmiechem uciekającego życia!...

Z resztą byliśmy zupełnie wolni; osobliwie wieczory!... ach wieczory, boskie wieczory! ileż ja od tego czasu przepędziłem wieczorów hucznych, wieczorów miejskich, pełnych biesiad, kobiet, świateł, tańców, ubiorów, zapachów, wieczorów wiejskich w ogrodzie pod drrzewem, przy świetle xiężyca, przy pieniu słowika, na wodzie, wśród szmeru fali roskosznej łódki ukołysane ruchem; garście lat moich rzucałem za roskosze wieczorne, garście marzeń rzucałem w ogród, w wody, w niebo, w xiężyc, w pienia słowicze, a przecież wszystkie wieczory moje oddałbym za jeden, jakich tam przeżyłem tyle.

Była wielka ulica lipowa przeszłych pokoleń powiernica, była nią równie dla nas, jak i będzie dla pokoleń przyszłych. Tam spędzaliśmy zwykle wieczory nasze; ile tam zostało słów naszych, ile uczuć i marzeń!... Nieraz do północy chodziliśmy po ciemnej ulicy, rozmawiali słowy, milczeniem i westchnieniami!... ile planów na przyszłość, gmachów sztuką wyobraźni wzniesionych!... Odwieczne lipy! nieme świadki naszych rozmów i uniesień, wy stoicie nieruchome, a nasze gmachy w proch runęły! wy stoicie, tym samym szeptając głosem do starszego pokolenia na ich codzienne obojętne troski, jakim odpowiadaliście na poetyczne uniesienia młodych kochanków!...

Chodząc po ulicy modliła się; ja cicho szedłem koło niej, i byłem pobożny, wiarą, w jej czystą duszę złożoną; a potem codzień jedne, codzień nowe pożegnanie; i jeszcze raz wracaliśmy, żegnali drzewa, żegnali siebie do jutra; odprowadzałem ją do domu, rękę ścisnąłem, ucałowałem ścisnięty nawzajem, i wracałem sam nazad do ulicy lipowej by rozpamiętywać każde słowo, każde wejrzenie!... Skąpy bogacz rachowałem po tysiąc razy skarb mój; bo miłość Marii, i szczęście z nią rojone, były mi najdroższym skarbem.

3.

— Nie wierzę, aby ci ten wychwalony nowy doktór mógł co pomódz; wszakże jeździliśmy od doktora do doktora, od miasta do miasta.... cóż to pomogło, natraciłem panie dobrodzieju pieniędzy nie mało, i na tem skończyło się: mówił pan wujaszek.

— Ten pan Szmitian wydaje mi się być ciarlatanem; jakiś magnetyzator!... przyznam się szczerze że niewierzę w magnetyzm, bo niewidzę logiki, a zatem boję się aby raczej nie zaszkodził matce: dodał pan cioteczny brat.

— Już mi podobno nic nie pomoże; cichym głosem odezwała się ciotka.

— Ja także nierozumiem magnetyzmu, tak jak

wielu innych rzeczy nierozumiemy, ale dla tego czyż już koniecznie potępiać potrzeba? kiedy zwyczajne lekarstwa mamie nie pomagają, dla czegoż nie udać się do tego lekarza, o którego cudownych prawie kuracjach codzień tyle słyszymy.

— Mnie się nawet zdaje, że właśnie na cierpienia ciotki najwięcej pomódz może magnetyzm, który sposoby niewidzialnemi nowe życie wlewa w nerwy... Ja wierzę zupełnie w magnetyzm!... dodałem po chwili patrząc na Marię.

Długo walczyliśmy z uporem ojca i brata, których długa i kosztowna choroba żony i matki najmocniej znudziła; przemogliśmy nareszcie, posłano po pana Szmitiana, który od niedawnego czasu był się pojawił w pobliskiem miasteczku. Ratunek tem był konieczniejszy, bo ciotka codzień była słabsza, codzień opadała na siłach, osobliwie trapiły ją bezsenne nocy, i choć nieraz, kiedy długo czytałem jej głośno rozweseliła się na chwilę i z widocznem upodobaniem patrzała na nas, wnet przychodząc do poważniejszych myśli mówiła do nas z chorowitą tkliwością o życiu przyszłem, jakby już niedługo miała mieszkać między nami. Z rozrzewnieniem słuchaliśmy czułych jej wyrazów nieśmiejąc jednakże zaprzeczyć tego, o czem sami w głębi serca przekonani byliśmy.

Przyjechał pan Szmitian. Tak dziwnej i brzydkiej twarzy nie widziałem nigdy; głowa gęstemi włosami rudemi pokryta nadzwyczajnej była wielkości; czoło wypukłe i wyniosłe zdawało się oznaczać umysł głęboki, ale była na niem wklęsłość tak nienależąca do niego, iż mu nadawała jakiś wyraz niezwyczajny i przykry; twarz chuda trójkątna prawie, wielkiemi sterczała kośćmi, i nosem przełamanym przez środek z jakim malują Sokratesa; usta szerokie i zapadłe kurczył i rozciągał nad miarę uśmiech wiecznie szyderczy, a oczy siwe barwą chmury siwej, wyrazem nieodgadnione; długo się w nie wpatrywałem, i po długiej znajomości zostały mi zagadką; w stanie obojętnym wydawały się sklanne prawie, ale wedle uczuć tyle nabierały rozmaitych wyrazów iż je ledwie schwytać można było; przemagało jeno szyderstwo tak przenikliwe, że każdy mimowolnie oczy spuszczać musiał, by wzrok ten nie odkrył najgłębszej tajemnicy, i nie śmiał się z niej potem. Czterdziestoletnie dzieje życia burzliwego i namiętnego malowały się przedwczesnemi zmarszczkami na twarzy jego, ale i te były tak ruchome jak wyraz oczów. Na pierwsze spojrzenie cała twarz zdawała się być środkiem między głową trupią, i głową małpy, i cała ta ciekawa głowa spoczywała, na ciele tak wysokiej i kształtnej budowy, żeby jej rzeźbiarz zarówno mógł użyć za wzór do Herkulesa, jak i do Apolina. Był to paszkwil szatana na tworze boskim.

Dziś jeszcze żywo wyobraża mi się pierwsze mocne wrażenie jakie zrobił na mnie, gdy wszedł do pokoju, który poprzedzał pokój chorej; obojętny rzuciwszy wzrok na wszystkich, na mnie najdłużej zatrzymał spojrzenie ostre i ciężkie razem, a potem zwrócił je na Marię; uśmiech szyderczy rozciągnął usta, i zdawało mi się w tej chwili jak gdyby pytanie, które zawierał wzrok jego rzucony na mnie, rozwiązało się na twarzy Marii w pewność, i w ten uśmiech, który prawdziwie szatańskim mi się wydał, odstraszał mnie bowiem, a razem przyciągał tajemniczością swoją.

— Gdzież jest chora?... zapytał mnie głosem pełnym i dźwięcznym, prawdziwie spiewnym.

Weszliśmy do pokoju chorej. Zobojętniała twarz jego; dobre pół godziny przypatrywał się chorej, brał za puls, dotykał piersi, potem zerwał się z krzesła, stojące na stoliku i szafce liczne buteleczki lekarstw wziął, i wszystkie powyrzucał przez otwarte drzwi sklanne do ogrodu.

— Będzie zdrowa! wyrzekł tym samym głosem dźwięcznym, który w tej chwili anielskim mi się wydał. Gdzie mój pokój? dodał, i odszedł. Przez resztę dnia zamknięty u siebie nie wychodził.

Zwyczajem naszym zeszliśmy się wieczorem w ulicy lipowej, i oboje zapytali razem o nowego gościa. Twarz przybyłego podobne zrobiła wrażenie na Marii, jak i na mnie; długo rozmawialiśmy o nim i w końcu zgodzili na to, że jest dla nas zagadką, z tą tylko różnicą że dla Marii był zagadką nie ciekawą, czy za trudną do odgadnienia, czy nie wartą pracy odgadywania; dla mnie zaś była to zagadka, tak ciekawa i zajmująca, że mi się jej rozwiązanie jakby przeczucie jakie snuło po głowie. Chciałem nieraz zwrócić rozmowę, ale mimowolnie wracałem do niego; aż mi w końcu Maria w pół z śmiechem, a w pół z żalem zrobiła uwagę, że nic o niej, nic o naszej nie mówię miłości. Byliśmy smutni jak gdyby co niezrozumiałego stanęło między nami. Wracaliśmy pomału w milczeniu ulicą lipową ku domowi, gdy raptem z końca ulicy zaświeciły jakby kocie, oczy p. Szmitiana stojącego z założonemi na krzyż rękoma. Mimowolny dreszcz przebiegł mnie, a po drżącej ręce Marii poznałem że się przestraszyła mocniej odemnie. Zatrzymaliśmy się... spojrzał na nas, i zmierzył oboje lodowatym wzrokiem.

— Przerwałem rozmowę zajmującą zapewne?... wyrzekł, i zatrzymał się jakby czekał odpowiedzi.

— Wieczór wiosenny, ciągnął dalej po chwili milczenia, ma wielki powab, nawet pod zimnem słońcem polskiem; ale kto chce doznać prawdziwych przyjemności wieczornych, niech jedzie do Włoch; w Neapolu nad morzem, kiedy wokoło cicho, ale tak cicho, iż się własny słyszy oddech, ledwie czasem fala co pluśnie o brzeg, łódka co zaszumi na wodzie, daleka nuta lazaronów tęskna i dzika przerwą uroczystą ciszę: a gwiazdy złote brylantami odbite w morzu, a powietrze upajające wonią... w taki wieczór, pod takiem niebem marzyć, kochać, i modlić się.... kto jeszcze wierzy w miłość i boga!... przerwał i roześmiał się jednym z tych uśmiechów wątpliwych, które więcej przyrzekają niż posiadają. Ale ja przeszkadzam, a czas ulatuje, szkoda jednego wieczora, jednej rozmowy... Dobranoc!...

Odszedł i zdala usłyszeliśmy spiew; jeżeli gadał dźwięcznie, spiewał niezrównanie, nic podobnego niesłyszałem; głos wolny czysty i giętki zadziwił nas i zaczarował, nuta była dziwna, z szalonej wesołości przeskakiwała w ponurą żałość. Słuchaliśmy zachwyceni, bośmy młodzi niewiedzieli jeszcze, ile metoda włoska dodaje wdzięku głosowi męskiemu.

Pan Szmitian zaczął leczyć; wszystko co było zabronionem chorej pozwolił, magnetyzował ją co-

dzień po godzinie, czasami dawał lekarstwa przez siebie sporządzone, i codzień zdrowsza była ciotka, sen zaczął wracać, siły przychodziły, do tego stopnia, że choć pierwej kilka kroków zrobić nie mogła, teraz zaczęła się przechadzać po pokoju, a nawet i po ogrodzie: ledwie czternaście dni minęło, zaczęła już wyjeżdżać na przechadzkę. Radość nasza była niewymowna, twarz nawet lekarza wypiękniała w oczach naszych; pełen wdzięczności zacząłem się więcej zbliżać do niego, i on też nawzajem choć dla wszystkich milczący i obojętny, ze mną chętnie rozmawiał.

Gdyby mi było do śmiechu, musiałby mnie rozweselić jego dziwaczny stosunek do ojca i syna; wprowadzał ich zwykle w rozumowania tak zuchwale, iż oni nie chcąc się dać wyprzedzić, gonili za nim, robiąc prawdziwie pocieszne i rozpaczliwe skoki po mgłach filozoficznych kędy ich wodził, a potem niemiłosiernie spuszczał na ziemię, i wyśmiewał bez litości. Mimo twarzy odrażającej, mimo spojrzenia najczęściej badawczego, zacząłem się przyzwyczajać do niego, kiedy razu jednego zdawało mi się postrzegać, że wzrok jego dłużej spoczywał na Marii. Przykro mi było; nie była to zazdrość, bo wzrok nic nie miał czułego, ale gniewał mnie ten uśmiech szyderczy, którym zdawał się przemawiać, że odgadł naszą miłość, i że mu się śmieszną wydaje. Kto kochał prawdziwie łatwo zrozumie jak przykro jest dla kochanków to natrętne zdzieranie zasłony tajemniczej, którą się okrywać tak lubią młodzi kochankowie. Chciałem się usunąć od niego, lecz daremne były chęci moje i usiłowania; wszędzie go zdybywałem, wszędzie mnie ścigał ten jego wzrok pilnujący; nieraz nagle zbudzonemu ze snów niespokojnych zdało mi się widzieć oczy jego z łona ciemności błyszczące nieruchomie nademną. Wieczory nawet nasze straciły swój zwykły powab, bo zawsze gdyśmy się go najmniej spodziewali, pojawiał się nam, i nieraz niemy świadek naszej niemej rozmowy krok w krok za nami chodził, z wiecznie jednem przenikającem spojrzeniem, i niezmiennym uśmiechem szyderczym. Był to prawdziwie nasz zły duch; a przez wzgląd na ciotkę nie śmiałem mu nic powiedzieć, a nawet, choć wstydziłem się przyznać do tego, mimowolnie bałem się jego i szanowałem. Rzadsze były za tem rozmowy moje z Marią, i chociaż miłość była ta sama, zawsze silna i niezmienna, zdawało się jakby coś cudzego, ziębiącego stawało między nią a mną: ja łamałem sobie głowę nad pierwszą zagadką którą zdybałem, Maria zaś pojąć nie mogła co mnie robi tak roztrzepanym. Lekarz zaś widocznie odgadywał każdą myśl naszą, i nieraz oczów podnieść nie śmiałem, pewien że wyczytam już w jego wzroku myśl ledwie poczętą w głębi mej duszy, i poznam tryumf wyższego ducha nad słabszym.

4.

W pogodny wieczór czerwcowy chodziliśmy smutni z Marią po naszej ulicy; był to ostatni wieczór, któryśmy tam przepędzać mieli, wyjeżdżaliśmy bowiem wszyscy oprócz wuja o mil dwadzieścia do dziada naszego. Ciotka czując się codzień zdrowszą, chciała odwidzieć ojca, a razem zawieść lekarza tak dobrego do starca, który od lat kilku niemocą był zdjęty. Cieszyliśmy się ze zdrowia naszej matki, pewni że i tam będziemy razem, ale niewiem dla czego z smutnem przeczuciem żegnałem to miejsce naszemi schadzkami uświęcone; napróżno powtarzałem Marii czułe słowa miłośne, na próżno zapewniałem ją i siebie że każde miejsce obojętne dla nas, nic w losie naszym zmienić nie może, wyrazy wychodziły zimne i bez przekonania; wewnętrzny głos mówił mi że te chwile szczęścia już nie wrócą, że szczęście nasze zostawiamy w ulicy lipowej. Wierzyłem zawsze w przeczucie, które tem jest dla duszy człowieka, czem oko dla ciała; jeżeli bystrzejszem okiem tam zajrzysz gdzie drugi nie dosięgnie, dla czegoż wzrok duszy nie może być tak ostry by się aż w przeczucie przemienił. Po długiej rozmowie, pożegnaniach i przysięgach wracaliśmy żalem przejęci; na końcu ulicy stał jak zwykle lekarz; łyskawicą wzroku zmierzył nas, i obojętnym wyrzekł głosem.

— Szkoda że tej pięknej ulicy z sobą wziąść nie możemy, choć zapewne wszędzie są drzewa, ulice ogrodowe, wszędzie wieczór letni jest piękny... póki wiatr jesienny liści nie pozrywa, zamieć zimowa ulic nie zawieje!... tak bo lato trwać zawsze nie może, wszystko się zmienia, i zima mroźna i żałobna przyjść musi.

Po pierwszych słowach Maria lekko skłoniwszy się lekarzowi, ścisnęła mnie za rękę, i poszła ku domowi; pan Szmitian nie zważając na to mówił dalej.

— Dziwne ludzi urojenia! budują gmachy, przyszłość ubierają w dowolne szaty teraźniejszości, jak gdyby nic się zmienić nie miało a czas postępuje, jedna chwila nie podobna do drugiej, liść do liścia, kropla wody różni się od drugiej. Cóż stałego, cóż niezmiennego na świecie?...

— Są przecie uczucia! odpowiedziałem.

— Uczucia, cacko młodości, woń wiosenna!... cacko się zepsuje, lub znudzi, kwiat inaczej pachnie z rana, inaczej w południe, inaczej wieczorem; uczucia inne na czczo, inne po obiedzie; uczucie jest to wrażenie teatralne od sali, od aktorów, od orkiestry zawisłe!...

— Ja wierzę w przyjaźń! odpowiedziałem.

— Tak, przerwał w przyjaźń, i w miłość, dwa wielkie słowa, dwa wielkie nic; o religii już nie mówisz, bo już pomału przestajesz wierzyć że wszystko najmądrzej i najlepiej stworzone; pomału doświadczysz że przyjaźń jest tylko potrzebą samolubnej pomocy, miłość potrzebą cielesną!...

— Wzdrygnąłem się na teorię tak obrzydliwą, i chciałem żywo odpowiedzieć, lecz mi nie dał przyjść do słowa, porwał mnie za rękę, wcisnął we mnie błyszczące oczy, dźwięcznym głosem zaczął czarować.

— Doświadczysz i ty, tak jak ja doświadczyłem... I ja byłem młody, zapalczywy!... Ty nie znasz Grecii, tego nieba pogodnego, a czy rozumiesz jaki powab w tym słowie, jestem w Grecii, w kolebce bogów i bohatyrów, stąpam po klasycznym prochu wielkich ludzi, i wielkich wieków; niepojmujesz kobiety greckiej, z oczami w których mitologiczne namiętności palą się ogniem tajemniczym, z twarzami jakby na wzór dla Apellesa, z kibicią niby rzeźbą Fidiasa, Olimpu słoń-

cem ożywioną, z ustami spiewającemi pieśni homerowe... Ja znam, bo ja tam żyłem młody, pełen wiary, ja tam pod niebem greckiem kochałem Greczynkę; marzyłem chodząc z nią po gruzach dawnych świątyń; młodego życia wyobraźnią prostowałem połamane kolumny marmurowe; spiewałem z nią miłośne żale Safony... Była tam także ulica z odwiecznych platanów, po niej chodziliśmy w wieczory letnie greckie, gdzie gwiazdy, xiężyc i niebo są poezią; powietrze, szmer liści, i woń kwiatów miłością tchną; chodziliśmy tam codzień... Przyszła zima z wiatrem i deszczem; ja zawsze chodziłem do mojej ulicy, ale już samotny!... Niewiedziałem że w pysznej łaźni marmurowej młodego Greka, którego ja sam krwią własną zlany z pomiędzy rozjuszonych wyciągnąłem muzułmanów, ciepłej jak w ulicy platanowej; niewiedziałem że dobrze przemarzyć lato z marzącym Niemcem, ale w zimie lepiej przy alabastrowej lampie wśród wschodnich woni używać z pięknym choć rzeczywistym Grekiem... Dowiedziałem się, przekonałem się, i....

— Tu zaiskrzyły się oczy lekarza płomieniem tak szatańskim, iż z grozą przejęty zawołałem: I cóż?...

— I cóż?... znasz ty jedno uczucie całe, pełne i silne, co warto uczuciem nazwać, uczucie co ci całą pierś zaleje, wszystkie siły natęży, krew rozgrzeje?... znasz ty zemstę?... Zostawiłem za sobą gruzy historyczne, gruzy moich uczuć i wiary, gruzy piękności i młodości, a sam pojechałem do stolicy meczetów, i tam na miękkim dywanie spałem, piłem kawę jakiej ty nie znasz, sorbet jakiegoś nie pił, kurzyłem tytuń jakiegoś nie palił, ściskałem kobiety jakich nie widziałeś w zimnej Polsce; używałem opium, i marzyłem... Po zemście nieznam silniejszego uczucia nad marzenie przez opium sprawione; to mozajka myśli, uczuć, i roskoszy, kolorytem wyobraźni ubarwiona; arabesk fantastyczny okolic i ludzi; a obrazy przesuwają się jeden po drugim, miękkie ulotne i mgliste; dziewice hurysy, oczy gwiazdy, usta korale, pierś alabaster żyjący; a ogrody rajskie, niebo turkusowe, słońce brylantowe, drzewa szmaragdowe!... i wszystkie te obrazy czerwcowe drzą w powietrzu które jak zasłona przezroczysta w codziennych kołysze się zwrotach, marszczy się i ciemnieje... Ale zbudziłem się...

Niewymowne ciekawości i zgrozy uczucie tajemniczem przeszło mnie drzeniem; zdawało mi się że stoję przed zakrytym prawdy posągiem w Sais, której zasłona drzy w ręku lekarza: pierwsze powątpiewanie zabolało w sercu, pierwsza ciekawość zaciężyła na mej głowie; głosy świata nowego dla mnie, nowych przedmiotów, nowego życia zagrzmiały całą orkiestrą, tony dzikiemi i zachwycającemi, pełnemi przeczuć i żądzy; ledwie zdala dochodził mnie głos prosty, czysty, głos wiary... flet pastuszy!...

— Niechcę wierzyć, i nie wierzę; są myśli wielkie; myśli co wieki przetrwały, a przez mnogie przechodząc pokolenia wzrosły w olbrzymów, w bohatyrów, w czyny.... Są uczucia, które nowym potopem całe wieki i całe ludy przerobiły.

— Rozumiem cię!... szukałem tego uczucia; wymysły żaków, bańki po historycznych kronik morzu pływające, marzenia heraldyczne, spiewki minstrelów, dumania zakonne, wynalazki słabej głowy, lub słabej wątroby. Szukałem i młody, żem znalazł uwierzyłem; myśli wiekowej, uczucia wiekowego, szukałem w wiekowym z bogów zrodzonym narodzie; walczyłem między Grekami. Mnie z Getyngi uciekłemu sniły się Termopile, Salaminy, Miltiady i Solony: miasto tego ujrzałem zdradę krwią kupioną, krew pieniędzmi płaconą; widziałem noże rozbójnicze z maratońskich oręży wykute, karły w ruinach olbrzymów... ale dajmy temu pokój... Szukałem tej myśli i tego uczucia od południa na północ, widziałem niskie zdolności, a wielkie żądze, cedry w grządkę sadzone... Szczęśliwy kto umarł jak Byron śmiercią fizyczną; ja omal nie umarłem śmiercią moralną!... Jedna myśl istotna jest grób!... gniazdo nowego rzetelnego życia; szerokie kraje nogą mą zmierzyłem, i znalazłem je w gnieździe świata; grób obok kolebki, w Egipcie, w grobowych piramidach.

— Czyż być może?... a przecież jako lekarz poświęcasz się ludzkości, którą zdajesz się pogardzać...

— Co mi tam do ludzkości!... ja ludzi nie kocham, nienawidzieć nie warto; ja się z nich śmieję, i jako rzemieślnik teorię z grobów dobytą stosuję i doświadczam.

Odszedł lekarz ciała, choroba dla mojej duszy, choroba co robakiem wgryzła się w moje młode życie. Ledwie chwil kilka uleciało, a każda przeczuciem, smutkiem, ciekawością rozciągnięta, godziną, miesiącem, rokiem ociążyła na mej głowie, ołowiem przycisnęła serce.

d. n.

TEATR.

Dnia 20 b. m. dany był na scenie polskiej »Fabrykant« komedia we dwoch aktach, o której już dawniej wspominaliśmy w dzienniku naszym, jako o jednym z lepszych choć mniejszych, a pełnym życia i prawdy utworze naszego Korzeniowskiego. Poprzedziła ją trzechaktowa komedia »Mąż i żona« która dawno już spokojnym snem spoczywała w repertuarzu naszym. Jestto jedna z tych sztuk, której intryga chorowita, mimo nieszczędzonego piżma dowcipu, do zupełnie zdrowego życia przyjść nie może. Pomijamy że cała jej treść więcej złośliwa niżeli dowcipna stoi na ostatnim krańcu przyzwoitości, tak, że co chwila zda się opadać już ostatnia zasłona kryjąca nagość rozpusty, bo takie odkrywanie zdrożności towarzyskich może się przydać do poprawy; ależ zakończenie przynajmniej powinnoby nagrodzić cnotliwych, karać występnych. Nagrodzić zapewne nie ma tam kogo, bo się wszyscy oszukują nawzajem, dowcipnym i gładkim wierszem tłumacząc zdrożności swoje; zamiast kary zaś jest na końcu pojednanie męża i żony, oszukanych i oszukujących, w obec przyjaciela mężowskiego który był kochankiem żony, i który nabroiwszy niemało wychodzi spokojnie, jak ze zwykłej wizyty. Kara spada na służącę, dla tego zapewne że służąca; bo w garderobie może mieszkać wina, ale w salonie musi być zawsze czysto. Z tej sztuki wychodzący musi sobie powiedzieć: na co tu się poprawić, kiedy wszystko można zgrabnie pokryć, dowcipem zamydlić oczy. *Si non caste, tamen caute*, zda się być sens moralny tej komedii. I nie mówilibyśmy o niej tak długo, gdyby nie to, że w jej cho-

rowitości wypada nam szukać przyczyny, tak oziębłego przyjęcia, jakiego doznała od publiczności panna Szymańska, występująca po raz pierwszy na scenie lwowskiej, jako amatorka, w roli tejże żony, oszukującej męża, dlatego podobno że mąż. I w rzeczy samej wybór panny Szymańskiej był bardzo nieszczęśliwy; nietylko bowiem polityczniej jest wybierać rolę któraby mogła sama przez się zainteresować publiczność, i rzucić jakoby odbłysk własnej świetności na odgrywającą, ale nawet rola Elwiry w tej sztuce jest tak blado odrysowana, tak mdła, żadnem silniejszem nie wyskakująca uczuciem, nawet mniejszem dowcipowaniem obdarzona przez autora, iż się w niej żadna własność grającej aktorki dobitniej odcieniować nie potrafi. Mimo tego zdało się nam postrzedz w pannie Szymańskiej, jeżeli nie wielostronny to przynajmniej prawdziwy talent do ról salonowych, gładkich jak posadzka salonu, ról do których, powiedzmy sobie nawiasem, niemamy nikogo. Ma ku temu i postawę mniej wyniosłą, i głos więcej pieszczony niżeli silny, a osobliwie wielką naturalność pochodzącą z wykształcenia lepszego, które robi ją zdatną do tego życia towarzystw, pogadanki salonowej, i tych uczuć półtaktowych bez wszelkich płaczów i wielkich zapałów. Przytem śmiała, swobodna w ruchach, bez przysady, deklamująca z wdziękiem nawet, a nadewszystko młoda jeszcze panna Szymańska, jeżeli w tym zawodzie zechce pozostać, zdoła się zapewne wykierować na znakomitą artystkę. W Fabrykancie nie grała panna Szymańska, ale za to wszyscy prawie aktorowie grali wyśmienicie. P. Rychter był tak doskonałym fabrykantem powozów, żeśmy omal nie zapomnieli iż był także obywatelem. P. Dawizon jak zwykle nie szczędził usiłowań; szkoda tylko że wielką ich część poświęca chęci uzyskania oklasków. Taka chęć jeżeli z jednej strony jest potrzebna do dobrej gry, z drugiej strony trąca często o przysadę, za pomocą której każdy aktor wie doskonale że najlepiej dostać brawo. I dla tego lepiej byłby udawał śmiesznego Francuza, gdyby więcej chciał być Francuzem, a mniej śmiesznym. Ale nadwszystkich najwyborniej grał nasz Rudkiewicz; w rolach sług starych, poufałych, gdyrliwych nikt go zastąpić nie może. I w ogóle jestto może skutek tej nawyczki, co się w drugą naturę przemienia; ale dla nas cośmy się już zestarzeli z naszymi dawnymi artystami, w rolach im właściwych, mianowicie w komicznych, żaden z nowych sprostać im nie potrafi. *B.*

SPROSTOWANIE.

W ustępie z tragedii „Lukrecia" umieszczonym w przeszłym numerze dziennika, zaszły następujące mylki: w wierszu 3cim zamiast cię popraw się. Zaś po wierszu 6tym dodać następujące dwa wiersze:

Powietrze grobem zatchnęło
A wicher zawył straszliwie.

UWIADOMIENIE.

Dziennik mód paryskich wychodzić będzie i w nadchodzącym roku 1845, w takim samym formacie i takiejże objętości jak dotąd. Obok opisu mód zawierać będzie powieści oryginalne, rysy obyczajowe, opisy okolic, poezie, nowiny literackie, anegdoty, doniesienia ze świata artystycznego, i sprawozdania ze sztuk granych na scenie lwowskiej. Co do rycin w których już i teraz znaczną widać wyższość od robót dawniejszych p. Wejdla, takowe będą ile możności do doskonałości posunione. Oprócz nich dodawać się będą w znaczniejszych porach rysunki strojów; i tak w numerze pierwszym z nowego roku załączony będzie krój paryskiej koszuli, a to celem upowszechnienia tak wybornego wynalazku krajania wygodnych koszul, który u nas bardzo mało jest znany i dotąd zostawał prawie w tajemnicy; dla trudniących się szyciem koszul, rysunek tej koszuli będzie dany w naturalnej wielkości tak, iż każden, zmniejszając i powiększając tę formę, będzie mógł z niej korzystać. Dla majstrów krawiectwa tak jak i dotąd załączać się będą rysunki krojów sukień. Cena zostaje ta sama jak w roku bieżącym.

Z numerem przyszłym t. j. 26. kończy się prenumerata z roku 1844, przeto redakcia uprasza o wczesne zamówienie na rok następny. Prenumerować można po wszystkich pocztamtach w kraju i zagranicą, tudzież w kantorze pod liczbą 301, przy placu Ferdynanda we Lwowie.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.